

rzucane na chłopskich wozach, ciągnionych przez woły, karabiny na sznurkach... Wrażenie nędzy i rozpacz sprawiło to wędrujące mrowie. Rosjanie od razu zabrali się do roboty. Kiedy parę dni później znalazłem się nad Wisłą, podszedłem trochę bliżej rzeki żeby zobaczyć, jak naprawiają zwalony most Dębnicki. Jeden z nich wpadł do rzeki – ludzie z brzegu zaczęli krzyczeć, że człowiek tonie – trzeba go ratować! – Job jego mat’ – odrzyknął któryś – u nas ludziej mnogo...

4. Studia uniwersyteckie

Kilka dni po powrocie ze Stępcic doszła mnie wieść, że w moim dawnym gimnazjum im. Św. Jacka przy ulicy Grodzkiej organizowane są zapisy na przyspieszony kurs maturalny dla dorosłych. Nauka dwóch klas licealnych miała trwać jeden rok, po czym matura. To mogło być coś dla mnie – oznaczało bowiem zyskanie jednego roku przed podjęciem samodzielności zawodowej. W rzeczywistości zdobyłem dwa lata: jeden rok w liceum, drugi w Uniwersytecie. Czas był rzeczą niezmiernie cenną.

Kiedy stanąłem do zapisu na kierunek matematyczno – fizyczny okazało się, że zgłoszenia przyjmował dobrze mi znany profesor Jan Niemiec, który już kiedyś uczył mnie niemieckiego. Gdy w dodatku – przyjrząwszy mi się – zakrzyknął w moją stronę: – Włosy ci się kręcą, młodzieńcze! – odpowiedziałem: – To z wilgoci, panie profesorze! – i poczułem, że odnalazłem zagubioną część domu – że oto powiązały się dwie nitki życiorysu w jedną całość, która już zdała się być przerwaną. Dokumentów nie wymagał żadnych ale czułem, że kiedyś przeciw wyjdzie na jaw fakt, że nie mam tak zwanej „małej matury” (świadectwo ukończenia czterech klas gimnazjalnych), bez którego zapis do liceum był nielegalny. Okazało się że pasażerów takich, jak ja, było jeszcze pięciu czy sześciu – a sprawa rzeczywiście stała się jawna w połączeniu z nie byle jaką awanturą, o czym później.

Na razie rozpoczęła się przyspieszona nauka. Klasa – już właściwie studentów – liczyła trzydziestu kilku starych koni, którzy wiedzieli, czego potrzebują. No, może z geometrią analityczną nie wszystko

było różowe. Profesor, sporo wymagający ale bardzo dobry pedagog, wtajemniczał nas w sposoby opisu kształtu i własności przekrojów stożka i innych figur geometrycznych za pomocą algebry; tu trzeba było prócz biegłości w algebrze zdobyć się na odrobinę wyobraźni przestrzennej, nieodzownej dla zrozumienia co się z czym przecina. Bardzo mi się ten przedmiot podobał i nie miałem z nim żadnych trudności. Spostrzegli to moi koledzy w klasie i zaczęli domagać się rozwiązania zadań. Ale tę korespondencję spostrzegł też profesor i –kiedy pisaliśmy kolokwium – kazał mi po prostu siadać na jego miejscu, za katedrą. Nie trzeba dodawać, że od tego czasu wyniki kolokwii trochę się pogorszyły...

Na początku lutego wybrałem się na UJ dla uzyskania informacji, czy mogę zapisać się na pierwszy rok Chemii, nie posiadając matury. Mogłem – powiedziano mi. Jest taki status, zwany „wolnym słuchaczem”, w którym ma się wszystkie prawa studenta z wyjątkiem jednego: można chodzić na ćwiczenia i nawet je zaliczać, ale nie można zdawać egzaminów. Po wniesieniu jakichś tam drobnych opłat zostałem więc wolnym słuchaczem Wydziału Matematyczno – Przyrodniczego, kierunek Chemia i zacząłem studiować. Starałem się nie dać po sobie poznać, że wprost rozpierała mnie duma. Żadnych „czapek akademickich” nie nosiłem, żadnych odznak – wystarczyło wiedzieć, że już należę do tej społeczności. Cóż to była za przyjemność, kiedy zgłaszałeś na lekcji że jutro przyjdiesz trochę później do Szkoły, ponieważ masz na UJ ćwiczenia z matematyki albo prosisz o zwolnienie o dwie godziny wcześniej, bo dziś jesteś w planie na ćwiczeniach z mineralogii. UJ zawsze miał preferencje. Od lutego do połowy lipca trwał mój pierwszy rok na UJ, który zaliczyłem bez przeszkód i w październiku 1946 zacząłem rok drugi już jako „słuchacz zwyczajny”.

W Liceum wszystko szło normalnie aż do dnia, kiedy Dyrektor (dr Waga) wszedł do klasy i zaczął nam klarować jakie to dokumenty mamy składać, ponieważ termin matury już bliski. Wstał wówczas jeden z naszej szóstki i oświadczył, że świadectwa małej matury nie złoży, ponieważ go nie posiada. Dyrektor naprzemian to bladł, to czerwieniał, ale prawdziwy horror zaczął się dopiero w chwili kiedy dowiedział się, że takich ananasów jest nas sześciu. Wykrzykiwał coś o oszustwie i szantażu, po czym zapowiedział, że nas wyrzuci, kazał iść za sobą do swego gabinetu. Tam dodał jeszcze kilka przymiotników po czym oświadczył, że nam „tego nie daruje” – a

myśmy już wiedzieli, że nie będzie tak źle. Koniec końców dyro powołał dla nas specjalną Komisję, wybraną z grona pedagogicznego i doko-optował kogoś z Kuratorium (delegata tego trzymali chyba na relanium, ponieważ przez cały tydzień, kiedy trwały egzaminy, nie wydał z siebie głosu). Dał nam też tydzień na nauczenie się czego trzeba (kilkaset stron do czytania z kilkunastu książek!). Na szczęście, nasi profesorowie wiedzieli, czego się po nas można spodziewać i każdy miał przygotowany jakiś jeden, bardziej chodliwy, temat. Tylko ksiądz z uporem trzymał się historii Kościoła, o której nie mieliśmy bladego pojęcia. O ile pamiętam zdali wszyscy, choć na świadectwach zdarzały się oceny – dost, a nawet – – dost. Westchnąwszy uff! – mieliśmy w końcu nieodzowny załącznik.

Tymczasem termin matury zbliżał się wielkimi krokami: składaliśmy ją w połowie lutego 1946. Prawie wszystko poszło dobrze z wyjątkiem dwóch czy trzech osób, które musiały zgłosić się po wakacjach do egzaminu poprawkowego. Matura biegła z o wiele większym poczuciem satysfakcji, ponieważ byliśmy do niej dobrze przygotowani i dr Waga to docenił. Zaraz po rozdaniu świadectw wezwał kilku z nas do gabinetu i z każdym rozmawiał osobno. Mnie powiedział, że „właściwie już nie pamięta, co tam przeszkobaliśmy”. Więcej mówił o tym, że wraz z dojrzałością przyjęliśmy odpowiedzialność za nasze dalsze losy na swe własne barki. Studia uniwersyteckie szybko miną, a potem nas czeka życie zawodowe i – być może – założenie rodziny; żebyśmy pamiętali też o Kraju i Narodzie który jest w ciężkich tarapatkach, ale przecież nie zawsze tak będzie; o tym że niechętnie się z nami rozstaje, bo... nas polubił. Na zakończenie podarował mi edycję „Ksiąg Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa” Adama Mickiewicza, w formacie A6 ułatwiającym schowanie (księgi były wówczas na indeksie). Opuściłem jego gabinet pogrążony w myślach, a za mną już wlokła się conradowska smuga cienia...

Z jeszcze niezupełnie wyschniętym arkuszem świadectwa naturalnego pobiegłem do Dziekanatu Mat – Przyr (tak go nazywaliśmy) do zarejestrowania. I tu dowiedziałem się, że główną czynnością Dziekanatu było sprawdzenie, czy świadectwo jest autentyczne (już wtedy można było maturę kupić).

Od tej pory byłem już studentem zwyczajnym, więc mogłem przystąpić do egzaminów, których były dwa (mogłem, nie musiałem): matematyka i mineralogia. W ogóle, w sprawach tyczących terminów

egzaminów panowała na Wydziale miła swoboda: po każdym tryestrze profesorowie przyjmowali zgłoszenia do egzaminów (w postaci podania), do których mogłeś się jednak zgłosić każdego innego dnia, jeśli tylko wykładowca miał ochotę cię przyjąć. Nie było więc sztywnych ram czasowych sesji egzaminacyjnej, a tym samym prawie żadnych kolejek przed drzwiami gabinetów profesorskich. Wyznaczona była jedynie kolejność zdawania przedmiotów: matematyka, mineralogia, krytalografia, fizyka, chemia nieorganiczna, chemia organiczna, chemia fizyczna, itd. Nie mogłeś przystąpić do kolejnego egzaminu, nie mając zdanych wszystkich poprzednich. Sprawdzano też zaliczenie odpowiednich ćwiczeń i fakt wniesienia całkiem niedużej opłaty egzaminacyjnej (poprawkowy był droższy).

Matematykę zdawało się u profesora Bieleckiego. Młody był, a już oryginał. Może zresztą nie lubił egzaminować dużego tłumu studentów. Na moim roku było trzysta kilkadziesiąt osób do przepytania; w rok później pierwszy rocznik liczył już 600 słuchaczy! Miało to też różne fatalne następstwa, na przykład w pracowni chemii analitycznej, najważniejszej na studiach, było tylko czterdzieści stanowisk dwuosobowych. Znałem więc takich osobników, którzy (tylko formalnie!) chodzili na zajęcia trzeciego roku, a nie mieli zaliczonej Pracowni Chemii Analitycznej.

U Bieleckiego egzamin wyglądał tak: zapraszał do sali wykładowej na raz dziesięciu studentów i ustawiał ich przed tablicą. Pytanie dostawał pierwszy student; jeśli nie znał odpowiedzi, pytanie przechodziło na drugiego, potem na trzeciego, potem... tu bywało różnie. Niekiedy Bielecki rzucał pytanie: – kto wie? W rezultacie sam tylko Bielecki potrafiłyby uzasadnić stopnie, jakie stawał. Kilka kwestii dotarło do mnie (byłem siódmy w kolejce) i tylko jedno pytanie skierowane było wprost do mnie. Za wszystkie wypowiedzi dostałem w sumie piątkę i do dziś nie wiem, za co.

Znacznie trudniejszy był egzamin z fizyki u profesora Zakrzewskiego. Starszy pan (odszedł na emeryturę po zakończeniu zajęć z naszym rocznikiem) i też wielki oryginał, o którym w dodatku krążyły legendy. Zaawansowani wiekiem studenci, którzy godzinami wystawali przed jego gabinetem i robili „statystykę stopni”, straszili nią potem takich gołowąsów jak ja: jaki to on jest okropny, pali papierosy bez przerwy, wrzeszczy na studenta zanim ten zdąży usta otworzyć, itd., itd... Faktem jest, że z nim nie było figli, ani błyskotliwych powiedzonek.

Wykładał znakomicie, choć mówił trochę cicho; takie zdania jednak, które w jego odczuciu były ważne lub oryginalnie sformułowane (należało zapisać!), wypowiadał grzmiącym głosem. Siadałem w drugiej ławce, bo chciałem słyszeć także i to, co mówił ciszej. Do egzaminu – prócz notatek – trzeba było jeszcze przejrzeć przynajmniej jakiś podręcznik, którego zdobycie w tych latach nie było łatwe. Przechodząc kiedyś w Krakowie ulicą Szpitalną spostrzegłem w antykwariacie „Experimentalphysik” Lommela i... kupiłem za grosze. Nie tylko kupiłem, ale ja to całe przeczytałem! (do dziś pamiętam sformułowania niektórych praw fizyki w niemieckim języku, na przykład „Je höher die Temperatur, desto mehr rückt das Maximum der von einem Körper ausgestrahlten Energie aus dem ultraroten in den roten Teil des Spektrums” – czyje to prawo?). Przypomniawszy sobie w czasie oczekiwania na zaproszenie profesora przed jego gabinetem o mym sposobie studiowania fizyki, zacząłem się martwić: czy ta moja wiedza będzie w jakimś stopniu przystawać do tego, co on mówił?

Otrzymałem trzy pytania, których treści zupełnie nie pamiętam. Zakrzewski rzeczywiście palił namiętnie: dzielił papierosa na pół, umieszczał w cygarniczkę i odpalał od poprzedniej. Ale ani raz mi nie przerwał; zapytał tylko po egzaminie: – A z czego pan się uczył? – ale zastrzeżeń nie miał, bo dostałem drugą piątkę w protokole egzaminacyjnym. Na zewnątrz czyhali już „statystycy”. – No i co? – Obląłem, powiadam. – No widzi pan – taki on jest, skomentowali uradowani. Kiedy im wyjaśniłem, jak wszystko biegło w rzeczywistości, szczęki im nieco opadły.

Uprowadzając bieg wydarzeń, wspomnę tu o egzaminie z chemii nieorganicznej, ponieważ miał bieg wysoce oryginalny. Wykładał ten przedmiot profesor Tadeusz Estreicher, mający lata znacznie powyżej sześćdziesiątki. Tradycyjnie mówił o układzie okresowym pierwiastków, o własnościach ich związków, ale sporo uwagi poświęcał skraplaniu gazów, w szczególności powietrza; był to bowiem jeden z tych sławnych chemików, którzy doprowadzili do skroplenia powietrza i wodoru (Olszewski, Estreicher). Wykładowi towarzyszyły zawsze demonstracje różnych doświadczeń i oględziny preparatów – także i skroplonych gazów. Pokazywał więc zmianę własności fizycznych materiałów (dzwonek ołowiany po ochłodzeniu dźwięcznie dzwonił, gumowy wąż zachowywał się, jak rurka szklana (pękał na drobne kawałeczki po uderzeniu młotkiem), kwiaty zamrożone rozlatywały się na drobny

pył, itd. Co roku ten rozdział kończył się pokazem fajerwerku, który koniecznie trzeba było obejrzeć. Myśmy już z góry wiedzieli, kiedy ten pokaz wypadnie (zapowiadał!) i w tym dniu wielka sala wykładowa Collegium Novum pękała w szwach. Na dużej misie porcelanowej Estreicher rozsypywał przygotowane materiały palne (przede wszystkim sproszkowany węgiel, wata, może jeszcze trochę soli nieorganicznych, dających płomieniowi zabarwienie), po czym obficie polewał to ciekłym powietrzem, wzbogaconym w tlen. Ciekłe powietrze jest mieszaniną przede wszystkim azotu (75%) i tlenu. Cząsteczki (dwuatomowe) tych gazów zupełnie nie oddziałują na siebie, wobec czego skład pary jest zawsze stały. Jednakże czysty azot temperaturę skraplania ma wydatnie niższą, niż tlen, więc też z mieszaniny szybciej odparowuje. Pozostałość jest znacząco bogatsza w tlen – tym bardziej, im jest starsza.

Po wymrożeniu parownicy Estreicher dolewał jeszcze porcję tlenu, po czym zapalał. Po niedługim czasie stale rosnący płomień osiągał wysokość kilku metrów, towarzyszyły mu rozbłyski i miliony iskiek; całość była niezwykle widowiskowa. W tym momencie profesor i asystenci dostawali owację: cała sala biła gromkie brawa.

Prócz wykładów chemii nieorganicznej Estreicher gawędził jeszcze na temat chemii analitycznej w wymiarze 1 godzina/tydzień, o szóstej wieczorem (!). Starczało czasu ledwie na przeczytanie tytułu paragrafu na dziś, po czym zabierał się do podpisywania indeksów, złożonych w tym celu na brzegu katedry. Jego brat, Karol, był profesorem historii sztuki w krakowskiej ASP; obaj razem zapewne znali więcej ludzi, niż wynosiła połowa liczby mieszkańców Krakowa. A taką analizę kto, z kim i kiedy – staruszek lubił ogromnie. Brał do ręki indeks, czytał nazwisko (przy takim potraktowaniu zajęć czasu miał dość i pewnie myślał, że my go też mamy!) i stawiał pytanie: – Pan Tuczapski... hmm... czy pan ma może krewnych, mieszkających przy ulicy Odrowąża? Jeśli student połknął haczyk to mogło się zdarzyć, że w tym dniu Estreicher zdążył podpisać tylko jeszcze jeden indeks. Reszta studentów zgrzytała zębami, bo trzeba było przyjść jeszcze raz w następnym tygodniu.

Na egzaminy Estreicher zapraszał do swego ogromnego gabinetu grupę 10 – 20 studentów, którzy obsiadali dokoła stół kilkumetrowej długości, założony papierami, książkami, wykresami; było na nim także i to wszystko, czego student mógł potrzebować do egzaminu. Estreicher był bowiem zupełnie głuchy na prawe ucho i mocno też niedowidział

prawym okiem – kontaktował się ze studentem wyłącznie detektorami lewej strony twarzy. Po pomyślnym zdaniu egzaminu nie wolno było zapomnieć o poproszeniu profesora o pozwolenie dalszego przysłuchiwania się egzaminowi; po uzyskaniu zgody (zawsze!) wszyscy omijając fotel profesora przesiadali się o jedno miejsce w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek na tarczy zegara. Student po egzaminie miał teraz czas i ręce wolne i zajmował się głównie przygotowaniem dokumentacji do dalszych egzaminów. W szczególności musiał trochę orientować się w treści książki „Chemia zdobywa świat”, jaką napisał Estreicher z Tomankiem, ponieważ studenci często na nią się powoływali. Sprawiało to wielką przyjemność profesorowi, a rozmowa przechodziła na łatwiejsze tematy. Nie w tym rzecz, by Estreicher stawiał trudne pytania – natomiast często miały one charakter czysto pamięciowej „wyliczanki”. Cały system działał bezbłędnie z tym, że najtrudniejszą sytuację miał pierwszy ze zdających.

Tego roku, przed wakacjami, miałem jeszcze jedną rzecz do zrobienia. Wiadomo było, że po wakacjach są w planie ćwiczenia z chemii analitycznej – tyle tylko, że do Pracowni trzeba było wpiers się dostać. Należało w tym celu zdać kolokwium u doktora Hubickiego (późniejszego profesora chemii fizycznej Uniwersytetu im. Marii Curie – Skłodowskiej w Lublinie), co nie było takie łatwe – a konkurencja duża. Wypożyczyłem tedy kilkuset stronicową biblię tego przedmiotu i zacząłem ją studiować. W domu było mało przewiewnie – a tu czerwiec w pełni, wabiący zielenią i kwieciami – poszedłem więc na pobliskie Planty (tak w Krakowie nazywa się ogród – zieleniec, wijący się przez miasto, wyposażony w ławki, kosze na śmieci i sprzedawców krakowskich „bajgli” (okrągłe obwarzanki) z mnóstwem dzieci, opiekunów i spacerowiczów). Bywał tam też niezły wybór panien, przechadzających się grupami i rozpraszających uwagę człowieka skupionego na studiowaniu poważnego dzieła. Mimo wszystko były powody, aby od czasu do czasu przerwać lekturę i rzucić okiem na otoczenie. Jeden z moich kolegów, który często mi towarzyszył w tych wycieczkach, rozglądał się dokoła i – kiwając smętnie głową – mawiał: – I kto to kiedy przeleci!

Ale nie byłem nastawiony na słuchanie żartów: miałem trzy i pół miesiąca czasu na wkuwanie chemii. I całą książkę jednak przeczytałem. Prawdę mówiąc, nie na wiele się to przydało, ponieważ dr Hubicki mniej pytał o chemię a więcej interesował się skojarzeniami (jedno

z moich pytań brzmiało: – A dlaczego niebo jest niebieskie?). Ku mojemu zdziwieniu znalazłem się na pierwszej liście przyjętych do Pracowni.

Ćwiczenia odbywały się w określonym dniu tygodnia i trwały oficjalnie cztery godziny, a w rzeczywistości 5 – 7 godzin tak, że z Pracowni wychodziło się niekiedy dopiero po godzinie 20:00. Wracano się do domu, oczywiście piechotą, rozmawiając po drodze o blaskach i cieniach życia akademickiego. O tym czasie był już zmrok – na Plantach paliły się lampy, a czysta, świeża zieleń drzew pięknie przeświecała na ich tle. Kiedy zawaiał wiaterek, gałęzie i liście tańczyły – tańczyły też ich cienie na asfalcie. Wtedy nie mogłem iść – traciłem równowagę; tak spostrzegłem po raz pierwszy, że mam jakieś zaburzenia w funkcjonowaniu błędnika.

W Pracowni gęstniało. Z każdym tygodniem przybywały dwie, trzy osoby, które rozpraszano po dwuosobowych grupach. Któregoś popołudnia trafił asystent także do nas dwóch i przydzielił nam studentkę. Była to Marysia Komorowska, zwana Majką. Była – jakbyśmy dziś powiedzieli – „panną z lepszego domu”, zawsze wytwornie ubrana, wytwornie wymawiająca wszystkie „ę”, „ą” – kto wie, czy nie arystokratycznego rodu? Prezentowała się miło, zawsze wesółą, z uśmiechem i z jakimś rozmachem w stosunku do życia. Była też o niebo przystojniejsza, niż jej 99.9% koleżanek na Chemii. Szybko jednak zorientowaliśmy się, że w pracach manualnych wielkiego pożytku mieć z niej nie będziemy. Natomiast idealnie nadawała się do przekazywania wyników analizy Asystentowi. Przy takiej operacji zawsze coś się nie zgadzało: niektórych jonów nie znaleźliśmy w preparacie, innych natomiast, niby znalezionych – w rzeczywistości wcale nie było. Należało to jakoś uzgodnić. A ona umiała się przymilić, uśmiechnąć, a kiedy Asystent zaglądał do zeszytu wydanych analiz, to często zaglądały doń dwie pary oczu. W rezultacie robota we troje szła jednak skuteczniej, niż dotąd.

Zanim Majka szła na konferencję z Asystentem, trzeba jej było wytłumaczyć, z czym idzie i gdzie są słabe punkty wykonanej analizy. Tłumaczyliśmy jej długo z Samotusem wyniki naszych dociekań, a ona co jakiś czas mruczała: – Aha... aha... – często dodając na końcu: – Nic nie rozumiem! i uśmiechała się uroczo. No więc zaczęliśmy od początku.

Majce zawdzięczam też moje zafascynowanie Gałczyńskim. Któregoś dnia przeglądaliśmy świeżo wydany numer Przekroju i ona zapytała, jak mi się podoba nowy wiersz Gałczyńskiego. Stwierdziłem, że go nie czytuję, a ona wtedy: – To ty nie czytasz Gałczyńskiego?! Zielonej Gęsi?! Postanowiłem jednak czytać i wtedy go odkryłem: spodobała mi się precyzja, z jaką trafia Poeta w istotę rzeczy, czasem żartem, kpina, często poważnie – ale zawsze celnie. Jego wiersze były, jak cały Przekrój: „dla ludzi wielkich, średnich i małych, oraz psa Fafika”. I zauroczenie jego poezją nie minęło, niektóre strofy przydają się także dzisiaj:

„Nie rób ze siebie pawia –
Szanuj mrówkę i kwita.
W tym właśnie sęk, jak mawiał
Ojciec Piotr, Karmelita.”

Mineralogię można było zdawać razem z krystalografią – więc przełożyłem na później. Ponieważ jednak nie zamierzam już do niej wracać, powiem tutaj parę słów o tych przedmiotach. Parę naście minut przed egzaminem szło się do woźnego Katedry Krystalografii i Mineralogii, który przydzielał wykonane z drewna wielościanny, popularnie „michałkami” zwane. Trzeba było w ciągu krótkiego czasu zorientować się w elementach symetrii klocka i określić grupę krystalograficzną, do której należał. Podobno wszystkich tych informacji udzielał za niewielką opłatą sam pedel, który klocek przynosił, ale studia traktowałem poważnie (dla tej też przyczyny nie kupiłem czarnego beretu akademickiego, chętnie noszonego przez studentów. Wkładali go najpierw na głowę ci, którzy potem latami czekali na dojście do Pracowni Analitycznej). Profesor Gaweł, który wykładał a potem sprawdzał znajomość przedmiotu, był człowiekiem nadzwyczaj uprzejmym, uśmiechniętym – ale tylko do czasu. Ponieważ jednocześnie był człowiekiem nadzwyczaj nerwowym, wszelkie niepowodzenia studenta przy egzaminie przeżywał o wiele intensywniej, niż on sam. Na taką ewentualność miał tak zwaną „wyszalnię”, tj. pokój przyległy do gabinetu, gdzie mógł się wyszaleć; czasami wylatywał w trakcie egzaminu jak z procy, zatrząskiwiał drzwiami, a później dochodziły spoza nich huki – czymś jak by rzucano, albo coś tłuczono, po czym profesor wracał znowu uśmiechnięty. Student, jeśli nawet zupełnie nie

wiedział, o czym sam mówił, inkasował „dostatecznie” do indeksu i wychodził uradowany. Nie przypominam sobie, by przy moim egzaminie profesor z gabinetu musiał wychodzić – pamiętam jedynie, że byliśmy zupełnie zgodni co do grupy krystalograficznej michałka i jego symetrii, co było faktem znaczącym.

Tempo życia akademickiego w Krakowie, ponad pół wieku temu, było w porównaniu z systemem dzisiejszym o wiele wolniejsze, spokojniejsze, można by rzec – bardziej niefrasobliwe. Biorąc pod uwagę czasowe obciążenia studiami w relacji do czasu wolnego, mogliśmy na Chemii 50% czasu przeznaczać na własne zajęcia – wliczając tu również przygotowania do egzaminów. Taka rzecz, jak moczenie nóg w zimnej wodzie by nie zasnąć, kiedy usiłuje się wbić do głowy w ciągu tygodnia dwustu stronicowy skrypt (przy takiej nauce zapominano go w ciągu trzech dni) były raczej nie znane. Do egzaminów przygotowywałem się zwykle od trzech miesięcy, do pół roku. Akurat w potrzebnym czasie ukazały się trzy tomy skryptu profesora Moszewa, który nam wykładał chemię organiczną – w sumie około 1000 stron A4. Na przygotowanie się potrzebovałem pół roku. Gdy czułem, że jestem gotów – zgłaszałem się do egzaminu. Ale czasu wolnego od nauki mieliśmy też dość: na Boże Narodzenie – miesiąc, na Wielkanoc – miesiąc; wakacje letnie od połowy czerwca do końca września – zależnie od stopnia zaawansowania spraw egzaminacyjnych. Niekiedy jakieś książki do nauki trzeba było zabrać z sobą na wakacje.

W tym czasie ukazał się wydany przez PWN w serii pod tytułem „Proste Książki o Zawitych Sprawach” podręcznik Bogdana Kamieńskiego pt. „Elementy chemii fizycznej”, którą rok wcześniej zaczął nam autor wykładać (wówczas byłem już na trzecim roku). Korektę robił czytając na wykładzie części książki, które mu przysyłano z drukarni. Miałem już wtedy nadzieję, że ten przedmiot będzie kiedyś moim zawodem; ponieważ aktualnie nie byłem zasobny w monety, poszedłem do Ojca, opowiedziałem mu co i jak i poprosiłem o sponzorowanie zakupu (książki wtedy były jeszcze dość drogie). Jak zawsze, Tata pospieszył z pomocą i już na drugi dzień mogłem „prostą książkę” czytać. Wypadło to akurat w tym czasie, gdy dzienniki doniosły o „barbarzyństwie USA, które dokonały zrzutu pierwszej bomby atomowej na terytorium Japonii”. A myśmy w książce Bodzia (tak nazywano skrótowo Kamieńskiego) już mieli komentarz, jak to wszystko działało.

W ciągu trzeciego roku studiów poznałem „załogę” krakowskiej Katedry Chemii Fizycznej: Krzysztofa Pigionia, Andrzeja Pomianowskiego („Dudusia”), Michała Pytasza (słyszającego tym, że pisał rozprawy naukowe „do szuflady”, całkowicie lekceważąc ich publikację), Kazimierza Gumińskiego (który był wówczas docentem i za rok miał być moim szefem)... I wtedy to zaczęły się dziać różne rzeczy, niemal jednocześnie. Wiedziałem już, że chcę zostać asystentem w jakiejś Katedrze Chemii Fizycznej; u Kamińskiego nie było miejsca, były widoki, ale u profesora Czerskiego na Akademii Górniczo – Hutniczej – tam znowu tematyka mnie nie interesowała (myśl o robieniu jakiejś „kariery naukowej” nawet nie powstała w mej głowie, a postawa Pytasza nawet mi się podobała); Pomianowski i Pigoń kończyli pisać skrypt dla studentów pt. „Budowa atomu i cząsteczki”, którego opinię studencką miałem opracować; zdawałem egzaminy. I w tym całym rozgardiaszu któregoś dnia Pigoń powiedział mi, że we Wrocławiu Gumiński organizuje Katedrę Chemii Fizycznej i będzie potrzebował kadry... Zebrałem się na odwagę, poszedłem do niego i zaproponowałem mu moją kandydaturę. Profesor nie tylko się nie zdziwił, ale bardzo życzliwie mnie potraktował i – o ile pamiętam – zgodził się bez oporów. Była jesień 1948, kończyłem trzeci rok studiów. Powiadomiłem Ojca o pojawiających się możliwościach i poprosiłem o zgodę. Żał mi było rozstawać się z Nim i z domem rodzinnym, ale w Krakowie zaczynałem się dusić – nie widziałem dla siebie interesujących perspektyw. Tata zgodę dał, ale jednocześnie martwił się trochę: miałem dopiero dwadzieścia trzy lata i żadnego treningu w dziedzinie samodzielności. Do założenia własnej rodziny także mnie nic nie zachęcało, wprawdzie podobała mi się panna z mego otoczenia, ale ona była zainteresowana zupełnie kimś innym – kimś, kto nie miał tyle książek, ale za to podoficerskie epolety, zdobyte w ruchu oporu. „Z resztą” – myślałem wówczas – „status życia rodzinnego nakłada ciągle obowiązki – czy potrafię im sprostać?” Póki miałem przed sobą długą listę egzaminów do przygotowania i zajęć, które trzeba było odrabiać, cel był jasny i prosty. W miarę ich ubywania trzeba było skupić się raczej na wejściu w zawód – myślałem – niż rozpraszać się. Był to czas rozterek i wątpliwości; wyjściem z niego był wyjazd do Wrocławia i rozpoczęcie samodzielnego życia na asystenturze, która mnie pociągała siłą nowej przygody i dążeniem do samodzielności.

5. Początki pracy zawodowej

We wrześniu roku 1949, formalnie jako student IV roku mający stale jeszcze egzaminy na UJ do zdawania, a faktycznie już zastępca asystenta Politechniki Wrocławskiej (tak nazywało się moje stanowisko) – spakowałem mój dobytek do kosza sieniawskiego, uściśnięm Ojca, zapewniłem go że „będę pisał” i wybrałem się w świat. Droga do Wrocławia, nawet pociągiem przyspieszonym, zabierała wówczas co najmniej siedem godzin, co z trudnością przychodziło przeżyć. W moim notesie widniał adres krakowskich znajomych, u których tymczasowo miałem otrzymać pokój, a na dworcu czekał już na mnie dozorca domu, w którym miałem zamieszkać; mieścił się on w rejonie placu Engelsa. Wspominam o tych szczegółach, ponieważ wiąże się z nimi dość zabawna sprawa, która wówczas była dla mnie zdumiewająca. Dozorca (autochton) przybył na dworzec sam; na moje pytanie, jak zamierza przetransportować dość ciężki kosz odparł, że ma z sobą wózek dwukołowy; na moją propozycję pomocy w transporcie nie przystał. Oświadczył, żebym się o nic nie martwił tylko dał mu kwit bagażowy, a sam żebym wsiadł do tramwaju „0” (często nazywany w Wrocławiu niesłusznie „zerówką”, podczas gdy nazwą linii jest „Okólna”) i wysiadł na Placu Engelsa – resztą już on sam się zajmie. Trochę mnie to wszystko zbulwersowało, ponieważ nie znałem zupełnie ani Wrocławia, ani człowieka. Zrobiłem jednak, jak mi poradził. Nie wątpiłem, że sporo czasu minie, zanim dojedzie wózkiem na miejsce. Znalazłem plac Engelsa, umówiony dom i... dozorcę z moim kufrem, czekającego na mnie – jak powiedział – od dziesięciu minut. To może dać Czytelnikowi pojęcie o szybkości, z jaką poruszały się tramwaje. Obiektywnie trzeba jednak wziąć pod uwagę, że odległość dworca od placu Engelsa jest znacznie krótsza od trasy tramwajowej.

W Katedrze Chemii Fizycznej Uniwersytetu i Politechniki (lub po prostu w KCF – jak ją najczęściej nazywaliśmy) pracowała już od wiosny liczna „załoga”. Prócz Profesora Gumińskiego i Krzysztofa Pigionia, których już znałem, poznałem nowych Kolegów, rówieśników, aktualnie magistrów, ale w niedługim czasie znakomitych uczonych: Waclawa Hendricha (z Poznania), Zdzisława Ruzewicza (ze Lwowa), Lucjana Sobczyka (z Wrocławia) – to najstarsi z tych, których